

PROLOG

O CAMINO DE SANTIAGO myślałam od bardzo dawna. Czytałam wszystko, co mi wpadło w ręce, grzebałam po sieci. Jedno z pierwszych pytań, jakie zadawałam nowo poznanym Hiszpanom, brzmiało: ¿Has hecho ya el Camino de Santiago? „Czy już przeszedłeś Camino?” Na kursie hiszpańskiego wspominałam tak często o szlaku św. Jakuba, że na koniec dostałam w prezencie obrazek z napisem „Yo ❤ Santiago de Compostela”.

Poważne przygotowania zaczęłam jednak dopiero na początku 2010 roku. Kupiłam odpowiedni plecak, czytałam porady, trenowałam marsze. Śledziłam też z uwagą wszelkie informacje w mediach na temat Camino. Poruszyła mnie historia matki, która wyruszyła z Polski ze swoim synkiem w pielgrzymkę do Santiago de Compostela, aby prosić o uzdrowienie jego chorych nóg. Podobno po kilkumiesięcznej wędrówce chłopiec do katedry wszedł o własnych siłach.

Pracowałam wtedy w firmie informatycznej i wiedziałam, że nie dostanę urlopu wystarczająco długiego na podobną wyprawę. Dlatego zrezygnowałam z pracy, licząc się z tym, że po powrocie będę musiała szukać czegoś innego.

Na podróż autostopem, „na własną rękę”, zdecydowałam się z trzech powodów:

1. To była przygoda, o której zawsze marzyłam.
2. Ze względów ekonomicznych. Taniej niż najtaniej 😊
3. Wiosną tego samego roku, odwiedzając Barcelonę, zostałam doszczętnie okradziona. Może się wydawać, że powinien być to raczej argument na „nie”. Ale ja po prostu potrzebowałam mocnych powodów do odzyskania wiary w ludzi.



Dzięki przykremu incydentowi w Barcelonie zyskałam namacalną wiedzę o niebezpieczeństwach podróżowania w pojedynkę. Więc niechętnie – bardzo niechętnie – zaczęłam szukać ludzi, z którymi mogłabym razem pójść na szlak św. Jakuba. I znalazłam. Rozmiary grupy zmieniały się na różnych etapach przygotowań. Początkowo miało nas być dwie. Chciałam przygody, poznawania nowych ludzi. Tymczasem na pierwszym spotkaniu w kawiarni ku swemu zdziwieniu za stolikiem ujrzałam Paulinę, znaną mi osobiście od kilku dobrych lat. Byłam odrobinę rozczarowana. Ostatecznie Paulina nie wyruszyła z nami na szlak. Była jednak nieocenioną pomocą przy kompletowaniu pielgrzymich apteczek. Nieraz wspominaliśmy ją ciepło podczas nakładania farmaceutycznych mikstur na zbolełe stopy.

Drugą osobą okazała się być w końcu Agnieszka. Ta była dla mnie rzeczywiście nową postacią. Na początku wydawała mi się strasznie poważną osobą – dużo starsza ode mnie, pracuje na uczelni, wie, czego chce od życia. Przy bliższym poznaniu okazała się być całkiem normalna i tryskająca dobrym humorem.

Nie mogę nie wspomnieć, że czas, który miałam spędzić na Camino, był wzięciem głębokiego oddechu przed wskoczeniem w głęboką wodę zwaną małżeństwem. Karol, wtedy już mój narzeczony, polecał na wakacje do USA. Obiecaliśmy sobie opisywać każdy dzień w czasie rozłąki.



AGNIESZKA

TANCERKA FLAMENCO w chwili największego napięcia trwa bez ruchu. Delektuje się naszą niepewnością. Jest jak kocica przygotowująca się do walki. Za chwilę rzuci się znieca na przeciwnika. Ma suknię białą w czerwone róże, swojski góralski wzór. W dłoniach – szkarłatny wirujący szal. Wygląda jak anioł o szkarłatnych skrzydłach. Jest zachwycająca i inspirująca.

Tu nie chodzi o taniec. Chodzi o życie.

Od dziesięciu lat pracowałam na uniwersytecie, w obcym mieście. Poruszałam się wśród książek i ludzi, który cenili racjonalne spojrzenie na świat. Wiodłam spokojne, względnie ustabilizowane życie kobiety po trzydziestce, dodam: samotnej z wyboru. Przemijanie z wdziękiem. Nie wykluczałam zmian – powierzchownych. Kiedy skończyłam 25 lat,

postanowiłam, że każdego roku odwiedzę jakieś nowe miejsce. Może być dwie ulice dalej, byle takie, w którym jeszcze dotąd nie byłam. Udawało się, wymagania miałam niewielkie. Nie tacy jak ja podbijają nowe lądy.

Loreena McKennitt jest Kanadyjką, prawdziwą *celtic woman*, harfistką o kryształowym głosie. Rudowłosa, niezbyt piękna, jeździ po świecie i zbiera perły muzyki rozsypane to tu, to tam, aby wszyć je w kunsztowny gobelin swoich kompozycji. Czemu ją wspominam? Bo kiedy szukam w pamięci początku tej historii (a nie lubię historii opowiadanych od środka), zawsze wracam do Loreeny i jej płyty „The Mask and Mirror”. Garść folkowych pieśni zrodzonych z fascynacji wielokulturową makatą XVI-wiecznej Hiszpanii. Jest w nich miejsce na nocny bazar w Marakeszu, poezję Jana od Krzyża, irlandzki klasztor (wspólna celtycka przeszłość i katolicka XVI-wieczna terażniejszość), a także angielskie dramaty Szekspira (cóż mocniej od wojen wiąże losy narodów?). Te pieśni pachną oceanem, imbirem, różami. Taniec w ciemności, ogień i gwiazdy spadające w dolinę. Napięcie, gwałtowność, niedosyt, namiętność. Ktoś w prostych słowach mówi o miłości, śmierci i życiu, a ty wiesz, że mówi najgłębszą prawdę o tobie.

Maska zasłania twarz, w lustrze możesz zobaczyć własną duszę. Co zobaczyłam? Nic. Zupełnie nic. Tyle tylko, że pomyślałam: chcę pojechać kiedyś do Hiszpanii.

W trakcie zmagania z doktoratem (najcięższa jak dotychczas bitwa mojego życia) zapisałam się na kurs hiszpańskiego. Chciałam zrobić sobie przyjemność. Kurs był tani, a nauka obcego języka od zera – niezobowiązująca. Nie miałam specjalnych oczekiwań co do efektów. Jednak uległam urokowi. Melodyjne słowa – jedno z pierwszych, jakich się nauczyłam, brzmiało *calzoncillos* i oznaczało męskie slipy. Nieskomplikowana wymowa, prosta składnia, niewyszukana fleksja, swojsko brzmiące idiomy. Włoski jest jak śmietankowa czekolada, sama słodczy. A chropowaty hiszpański ma w sobie tę odrobinę goryczy, która demaskuje przesłodzony obraz świata.

Kiedy dowiedziałam się, że grupa znajomych z całej Polski wyrusza w przyszłe wakacje piechotą do Santiago, zainteresowałam się sprawą, chociaż bez zbytniego entuzjazmu. Po co się entuzjazmować, skoro coś może nie wyjść.

W październiku 2009 wybrałam się służbowo do Torunia. Obowiązki zawodowe nie zabierały całego dnia, pogoda sprzyjała spacerom, a Toruń to sympatyczne miasto. Weszłam do ciemnego kościoła św. Jakuba. Dziwne, niespokojne miejsce. Niby przestrzeń sakralna, ale nie daje ukojenia. Pachnie w nim śmiercią. „Gotyk na dotyk”, który przeraża. Jeśli to prawda, że Bóg jest okryty światłem jak płaszczem, co skrywa pod płaszczem? Mroczne dotknięcie spoza uporządkowanego świata widzianego od słonecznej strony. Ciemne jak wino, drogocenne jak krew.

Dałam się pociągnąć tajemnicy. Zadzwoiłam do znajomych i poprosiłam, żeby wzięli mnie pod uwagę przy planowaniu wyprawy. Podobno droga do Santiago rozpoczyna się zawsze od progu domu pielgrzyma. W Toruniu postawiłam pierwszy krok. Później zorientowałam się, że ten kościół leży na trasie polskiego *Camino* i od wieków był przystankiem na drodze pielgrzymów.

Umówiliśmy się, że będziemy iść wspólnie przez dwa tygodnie trasą północną (*Camino del Norte*) i spotkamy się w Avilés, nad oceanem. Każdy dojedzie tam na własną rękę. Odwlekałam moment szukania połączeń komunikacyjnych, ponieważ marzyłam o podróży autostopem. Marzyłam i bałam się, ponieważ nie miałam żadnego doświadczenia w takich podróżach, a poza tym jako kobieta nie mogłam pojechać sama.

Wtedy pojawiła się Anka. Młodsza ode mnie o 10 lat, mniej niż znajoma, z ekipy wybierającej się do Santiago. Przy jakiejś okazji wypowiedziała na głos moje pragnienie: „a może pojedziemy do Hiszpanii na stopa?”. Do dziś pamiętam uczucie zaskoczenia i wdzięczności. Tak, tak!

Koloryt przygotowaniom nadało jednak całkiem inne uczucie: lęk. Im bliżej wyznaczonej daty wyjazdu, tym bardziej się boję. Niechętnie zbieram ekwipunek: trekkingowe sandały i skarpety, ciepłą i wo-